

## OKP stopień srebrny – Warszawa (8)

### Odznaka Krajoznawcza Polski stopień srebrny – Warszawa

Jak wspomniałem w poprzednim opisie postanowiłem wybrać się do Warszawy, miasta które odwiedzałem już wiele razy. Pora roku może nie była zbyt ciekawa bo to październik ale cóż. Nie takie przeciwności się pokonywało. Mamy rok 2009. Zatrzymałem się u rodziny. Niestety okazało się mieć to jedną niedogodność. Otóż w Warszawie mam w zasadzie tylko wuję, ale rodzina żony to już kilkanaście osób. I gdy tylko rozeszła się wieść o naszym przyjeździe rozdzwoniły się telefony. Każdy przypominał, że nie możemy wyjechać nie odwiedzwszy ich. Ba nawet kilkakrotnie musieliśmy zmieniać miejsca noclegów by nikogo nie urazić. Dlatego nasz pobyt tutaj uległ znacznemu wydłużeniu. Część obiektów zwiedzałem razem z żoną, część razem z rodziną chcącą pokazać nam coś ciekawego, co oczywiście nie zawsze było zgodne z naszymi założeniami, a część zwiedzałem sam. I to właśnie ta ostatnia część przebiegała najsprawniej.



*Na terenie ZOO w Warszawie. Foto: Krzysztof Tęcza*

Gdy udało nam się "wyrwać" w miasto, podjechałem z żoną na Rynek Starego Miasta. Aby ułatwić nam zwiedzanie wykupiliśmy Kartę Turysty, uprawniającą do bezpłatnych przejazdów środkami komunikacji oraz wstępów do wybranych obiektów. Okazało się to dobrym posunięciem. Bardzo ułatwiło nam przemieszczanie się po Warszawie. Bo używanie w tym celu własnego samochodu mijają się z celem. Przede wszystkim z powodu braku miejsc parkingowych. Ale też zdarzały się sytuacje związane z jeżdżeniem samochodem i śmieszne i dziwne. O tym nieco później.

Zaraz po wykupieniu Karty Turysty zrobiliśmy z niej użytek. Poszliśmy do Muzeum Historycznego miasta stołecznego Warszawy. I cóż się okazało. Otrzymaliśmy bilety wstępu ale ich cena opiewała na 0 (słownie zero) złotych. A więc zainwestowane pieniądze już nam zaczynały się zwracać. Pogoda była wspaniała więc nie śpieszyliśmy się specjalnie. Posiedzieliśmy sobie przy kawie oglądając to co działo się na Rynku. Następnie idąc w stronę zamku zajrzeliśmy do Katedry św. Jana Chrzciciela. Przechodząc koło niej tak się zapatrzyłem, w sumie nie wiem na co, że gdyby nie Ania to minęlibyśmy katedrę. Jednak jej czujność pozwoliła nam zaoszczędzić czasu potrzebnego na zbędne wracanie w to miejsce. Po obejrzeniu kaplicy, w której umieszczono sarkofag kardynała Stefana Wyszyńskiego dojdziemy do zejścia do podziemnych krypt. Tutaj właśnie można otrzymać od dyżurującego księdza stosowną pieczętkę.

Na zwiedzenie Zamku Królewskiego musieliśmy przeznaczyć dużo więcej czasu. Najpierw trzeba było wykupić bilet za 28 zł, niestety tego obiektu nie ma w Karcie, a następnie poczekać aż zbierze się odpowiednia ilość turystów byśmy mogli wyruszyć na zwiedzanie razem z przewodnikiem.

Ale warto było. Tym razem pani przewodnik, oprowadziła nas powolutku, nie uciekając przed kłopotliwymi pytaniami. Dowiedzieliśmy się wielu ciekawych rzeczy, o których nawet nie pomyślelibyśmy.

Kolejnego dnia wybraliśmy się, skoro świt, tzn. około południa, do Miejskiego Ogrodu Zoologicznego. Wykupiliśmy bilety po 15 zł, na których oprócz wizerunku zielonego misia jest ładny napis „zachować do kontroli”. Niestety muszę przyznać, że byliśmy rozzarowani tym co tutaj ujrzeliśmy. Generalnie ogród sprawiał wrażenie opuszczonego. Oznaczenia nie były zbyt spójne. Inne tego typu miejsca w Polsce prezentują się dużo lepiej. Jedynym co nas spotkało tu ciekawego był widok stojącego na liściach na wodzie (w pomieszczeniu wolnych lotów) ptaka o czterech patykowatych nogach. Nie mogliśmy uwierzyć swoim oczom. Wkrótce dowiedzieliśmy się o co tu chodzi. Przyszła pani z obsługi i wyrzuciła z puszek jakieś owady. Była to bowiem pora karmienia. Wtedy dwie nogi odłączyły się od oglądanego ptaka i poszły w stronę fruujących owadów. Cóż się okazało. Te dwie dodatkowe nogi należały do maleństwa schowanego pod skrzydłem swojej mamusi, która tak dokładnie je ukryła, że z zewnątrz widać było tylko właśnie te dwie dodatkowe nogi.

Rozbawieni tym zdarzeniem dotarliśmy do Metropolitarnej Cerkwi Prawosławnej św. Marii Magdaleny. Ten ciekawy obiekt o pięciu kopułach symbolizujących czterech ewangelistów (największa symbolizuje Chrystusa) zawsze ciekawił nas gdy przejeżdżaliśmy koło niego. Zatem z chęcią weszliśmy do środka, by obejrzeć go po raz pierwszy. Faktycznie warto było. Widok 4 - metrowych kiotów z ikonami Świętych Kościoła Prawosławnego to uczta dla naszych oczu. Ponieważ nie do końca znamy zasady obowiązujące w cerkwiach zapytaliśmy o to i owo osobę sprzedającą tu pamiątki. Dowiedzieliśmy się wtedy przy którym ikonostasie należy stawiać świeczki w zależności w jakiej czyni się to intencji. Oczywiście pan ten zaczął nam zaraz opowiadać o tym co widzimy. Na koniec pokazał Cudowną Ikonę Matki Bożej Iwierskiej przywiezioną tu w 1904 roku ze Świętej Góry Athos.

Muszę powiedzieć, że dzięki takim właśnie ludziom, nie dość, że zwiedzanie przebiega bardzo szybko i sprawnie to jeszcze dowiadujemy się rzeczy, których nigdy nie poznalibyśmy zwiedzając dany obiekt samodzielnie. Teraz dowiedzieliśmy się także gdzie możemy otrzymać pieczętkę, nie mieliśmy zatem z tym żadnego problemu.

Ponieważ pora była późno obiadowa, a obiecaliśmy dotrzeć na posiłek w miarę punktualnie, udaliśmy się jeszcze na Cmentarz Powązkowski. Byliśmy wcześniej tu niejedną raz, więc znając układ alejek nie błądziliśmy. Mamy tu pochowaną bliską osobę. Będąc przy jej grobie uznaliśmy, że na dzisiaj wystarczy tego zwiedzania.

Nazajutrz żona postanowiła spędzić więcej czasu z rodziną więc wyruszyłem na zwiedzanie Warszawy sam. Wybrałem zatem takie obiekty, które niekoniecznie musiały żonę interesować. Na początek dotarłem do Muzeum Wojska Polskiego. W zgromadzonych tu eksponatach bardzo ciekawym okazał się być motocykl "Sokół" 600 RTM 211 z 1938 roku. Ale muszę przyznać, że pieczętka jaką tu dysponują jest całkiem, całkiem. Równie wielkimi zbiorami może pochwalić się Muzeum Narodowe. Można je oglądać całymi godzinami, ale nie o to przecież chodzi. Każdy nadmiar wrażeń może wywołać przesyty. Ja na przykład, chodząc po salach, tak się zapatrzyłem, no i zagadałem z paniami z obsługi, że całkiem zapomniałem poprosić o pieczętkę. A później już mi się nie chciało wracać specjalnie w tym celu. Tym bardziej, że dotarłem właśnie do Ogrodu Botanicznego w Alejach Ujazdowskich. Tutaj poprosiłem o stempelek w kasie już przy kupnie biletu wstępu. Podobnie chciałem uczynić w Łazienkach Królewskich. Okazało się jednak, że to nie takie proste. Pora była już dosyć późna, więc powoli wszystko zamykano. Połączyłem zatem sobie nieco po terenie, zwiedzając co jeszcze się dało. A gdy dotarłem do tylnej bramy by stamtąd odjechać autobusem zobaczyłem budynek z tablicą informującą, iż jest tutaj siedziba Straży Muzealnej. Wszedłem zatem i poprosiłem o pieczętkę. Dowódca zmiany przybił mi ją w mojej kronice, uśmiechając się lekko. Nie wiem czy uśmiech ten był wywołany uznaniem dla mojej kroniki, którą obejrzał, czy był to uśmiech politowania dla turysty maniaka zbierającego takie dziwne pamiątki.

Kolejnego dnia, gdy powiedziałem co chcę zobaczyć, żona, mimo brzydkiej pogody, postanowiła wybrać się razem ze mną. Najpierw dotarliśmy na Czerniaków do Zespołu klasztorowego Bernardynów. Kościółek, mówiąc szczerze, nie sprawiał jakiegoś nadzwyczajnego wrażenia. Do tego

okazał się być zamknięty. Nie daliśmy jednak za wygraną i po kolei sprawdzaliśmy wszystkie drzwi, aż dotarliśmy do takich, przy których był dzwonek. Otworzył nam zakonnik. Z początku nie wyglądał na zachwyconego naszą wizytą ale gdy wyjaśniliśmy cel naszych odwiedzin i powiedzieliśmy z jak daleka przyjechaliśmy zmienił swoje nastawienie. Wpuścił nas do środka i od strony klasztoru zaprowadził do kościółka gdzie zamknął na dłuższą chwilę, byśmy mogli w ciszy obejrzeć sobie świątynię. Ta, tym razem, wywarła już na nas wrażenie. Ozdoby jej wnętrza czynią ją prawdziwym cacuszkiem. To tak jakbyśmy przenieśli się w inny świat. Świat piękna. Do tego jeszcze ujrzelśmy relikwie św. Bonifacego złożone w przeszklonej trumience pod ołtarzem. No i te malowidła na sklepieniu prezbiterium. Faktycznie warto było tu przyjechać by zobaczyć coś tak ładnego. Ponieważ nie kryliśmy przed oprowadzającym zakonnikiem naszego uniesienia zaprosił nas do klasztoru. Opowiedział jego historie i pokazał kilka zakamarków. M. in. zakrystie z jej skarbami. Wiszący tam krzyż z kości słoniowej okazał się być darem od mamy znanego aktora Bronisława Pawlikowskiego, którą opiekowali się zakonnicy. Największe jednak wrażenie wywarł na nas obraz o nazwie "Taniec śmierci". Tym bardziej, że ukazane na nim przedstawienia zostały nam dokładnie wytłumaczone.

Po zwiedzeniu tak ładnego obiektu, nie chcąc sobie psuć nastroju, dotarliśmy do Wilanowa. Akurat zaczął padać deszcz. Początkowo nie chcieli sprzedać nam biletu. Okazało się, że akurat w dniu dzisiejszym wstęp jest wolny. Dlatego dostaliśmy, tak jak inni bilet darmowy. Z tego też powodu nie wypadało nam marudzić i czekaliśmy ze wszystkimi dłuższą chwilę pod drzwiami pałacu. Wreszcie nas wpuszczono i mogliśmy przez dwie godziny podziwiać zgromadzone tu dzieła sztuki. Ponieważ, jak już wspomniałem, bilet w dniu dzisiejszym był darmowy, toteż nie dostaliśmy przewodnika po ekspozycji. Jednak wszystkie obiekty były ładnie opisane. Mnie akurat zainteresował obraz, który jako jedyny z całej kolekcji okazał się być nie podpisanym. Pani z obsługi była bardzo zdziwiona ale okazała się być dobrze poinformowana i nie tylko uświadomiła nas kogo przedstawiono na obrazie ale także opowiedziała prawie całe życie tej osoby. Po opuszczeniu pałacu zaczęliśmy spacerować po ogrodach, jednak pogoda szybko zmieniła nasze plany. Ewakuowaliśmy się zatem do bardzo przytulnej restauracji, gdzie zjedliśmy pyszny obiad. Jak do tej pory byliśmy bardzo zadowoleni z dzisiejszego zwiedzania, zwłaszcza, że w zamku dostaliśmy aż cztery ciekawe pieczątki.

Po posiłku zaczęło ogarniać nas zmęczenie. Postanowiliśmy zatem wracać. Ja jednak odłączyłem się i wstąpiłem jeszcze do Muzeum Powstania Warszawskiego. Słyszałem bowiem niestworzone opowieści o sposobie przedstawiania w nim ekspozycji. Faktycznie opowieści te nie były przesadzone. Zrobiło się już bardzo późno ale ponieważ podjechał autobus z napisem Port Lotniczy im. Fryderyka Chopina, wsiadłem i obejrzałem to co się dało. Niestety wszystkie punkty IT były już pozamykane. Jednak dla chcącego nie ma nic trudnego. Znalazłem jakieś otwarte drzwi i dostałem pieczątkę z napisem Dział obsługi terminali. Muszę powiedzieć, że w obiekcie tym czuło się przestrzeń, a to znaczy, że niestety trzeba było się nieźle nachodzić.

Rano żona zdecydowała, że odpocznie sobie nieco. Dlatego postarałem się wybrać takie obiekty by nie żałowała, że nie poszła razem ze mną. Na początek dotarłem na Cmentarz Ewangelicko - Augsburski Parafii Św. Trójcy. Oprócz pieczątki otrzymałem tam mały informator z niezbędnymi mi wiadomościami. Byłem nieco zaskoczony gdy oglądając stare groby zobaczyłem kilkakrotnie jak przybyli tu ludzie podchodzili do stojących szafach, otwierali je wyjmując znicze i zamiennie pozostawiali w wazoniku stosowną zapłatę. Dawno już nie widziałem takiego zachowania a i takiego zaufania, w tym wypadku ze strony zarządcy cmentarza. Widok taki jest tak rzadki, że nie sposób było nie ucieszyć się z niego.

Pomyślałem, iż wizyta na kolejnym cmentarzu nie zepsuje mi dobrego nastroju. Udałem się zatem na Cmentarz Żydowski przy ulicy Okopowej. Jakież byłem zaskoczony gdy wchodząc w bramę zostałem zatrzymany przez dwóch rosyjskich, młodych mężczyzn. Nie mogąc się porozumieć (mówili oni do mnie po angielsku) przeszli na język migowy. Okazało się, iż chcieli zobaczyć co mam pod kurtką. Wobec tego, że lekko padał deszcz schowałem pod nią aparat fotograficzny i raportówkę z notatkami. Wyglądało to tak jakbym coś tam ukrywał. Ponieważ doszedłem do wniosku, że mężczyźni ci to jakaś ochrona rozpiąłem kurtkę i pokazałem im co tam chowam. Wtedy uśmiechnęli się przyjaźnie i bez zbędnych słów zaprosili mnie bym wszedł dalej. Gdy tylko przekroczyłem bramę z cmentarza wyszła

znana aktorka Gołda Tencer. Razem ze sprawdzającymi mnie przed chwilą osobami wsiadła ona do czekającego na chodniku samochodu i odjechała. Nie do końca wiedząc jak mam zachować się na cmentarzu żydowskim poszedłem do biura gdzie uświadomiono mi, że powinienem założyć jakieś nakrycie głowy by okazać szacunek zmarłym. Ponieważ padał deszcz wystarczyło iż założyłem kaptur. Jakież było moje zdziwienie kiedy mijałem wycieczki prowadzone przez opiekunów, których uczestnicy (młodzi Żydzi) chodzili bez wymaganych nakryć głów. Wygląda na to, że to osoby powiedzielibyśmy "obce" bardziej starają się przestrzegać narzuconych zasad niż ci, którzy je wymyślili. Dziwne to ale w dzisiejszych czasach młodzież każdej narodowości nie przykłada już takiej wagi do swojej tradycji jaką powinna się wykazywać. Wracając do cmentarza byłem bardzo zaskoczony faktem, że wśród tysięcy nagrobków jakie się tu znajdują wiele z nich miało czysto polskie nazwiska. A więc nie byli to jak byśmy powiedzieli obcy. Byli to tak jak i my mieszkańcy Polski. Wielu z nich uważało się, i słusznie, za Polaków. Właśnie trafiłem na świeżą mogiłę. Wczoraj pochowano tutaj Marka Edelmana.

Mimo cały czas padającego deszczu postanawiam kontynuować zwiedzanie. Dotarłem na Rynek Nowego Miasta gdzie wydarzyła mi się niesamowita przygoda. W poszukiwaniu pieczętki wszedłem do klasztoru Benedyktynki i gdy siostra powiedziała abym położył swoją kronikę w okienku uczyniłem to. Ponieważ obowiązuje tu klauzura okienko obróciło się i już nie miałem notatek. I wtedy się zaczęło. Najpierw siostra kazała mi przeczytać wywieszoną historię klasztoru. Następnie zostałem przeegzaminowany z tego czego się dowiedziałem. Później musiałem wysłuchać bardzo długiej opowieści o różnych cudach jakie miały miejsce na przestrzeni ostatnich lat. Gdy pomyślałem, że już nie odzyskam kroniki, siostra zlitowała się na de mną i ujrzałem w okienku podawczym swój notes. Szybko go chwyciłem i szczęśliwy poszedłem dalej. Na przyszłość muszę stosować zasadę nie spuszczenia z oka prowadzonej kroniki. Dlatego gdy zwiedziłem Ogród Saski z Grobem Nieznanego Żołnierza, nie mogąc znaleźć miejsca, w którym miałoby pieczętkę, dotarłem aż do Teatru Narodowego. Jeszcze ciekawiej wyglądała próba zdobycia pieczętki podczas oglądania zabudowy ulicy Krakowskie Przedmieście. W lokalach gastronomicznych przeważnie są niechętni do takich gestów. Dlatego widząc czerwoną tablicę informującą, że w tym budynku jest instytucja państwowa, bez zastanowienia wszedłem do środka. A na moją prośbę bez zbędnych ceregieli otrzymałem pieczętkę o treści Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Ekstra.

Muszę tu jednak opowiedzieć co mi się wydarzyło pod wieczór kiedy to wybrałem się ponownie w ten rejon wraz z żoną. Ale najpierw wspomnę o naszej wizycie w Pałacu Kultury i Nauki. Okazało się, że aby wjechać na taras widokowy trzeba kupić bilet aż za 15 zł. Myślę, że to lekka przesada. Tym bardziej, że nic tam nie ma a widoki jakie rozpościerają się stamtąd wcale nie powalają na kolana. Do tego o tej porze nie ma szans na zdobycie jakiegokolwiek pieczętki. Trzeba się zadowolić kupionym biletem. Po za tym zrobiło się już nieco chłodno, zatem wróciliśmy do samochodu i pojechaliśmy w stronę Krakowskiego Przedmieścia. Żona koniecznie chciała, mimo kiepskiej pogody, zobaczyć kilka obiektów tam usytuowanych. W momencie gdy dojechaliśmy do krzyżówki, jadący przed nami samochód straży miejskiej skręcił w prawo a my w lewo. Po chwili zrobiło się mniej tłoczno i kątem oka zobaczyliśmy wolne miejsca na parkingu. Stanęliśmy tam. Ponieważ było jakoś dziwnie podszedłem do stojącego przy bramie żołnierza i zapytałem czy na tym parkingu można zostawić samochód. On odpowiedział, że oczywiście można, tylko żebym w automacie wykupił bilet parkingowy. Nawet dodał, abym się nie przejmował bo on pilnuje tu Pałacu Prezydenta więc i siłą rzeczy zwraca też uwagę na zaparkowane samochody. Jednak po chwili spytał się nas jak właściwie tu wjechaliśmy bo przecież wszędzie obowiązuje tu zakaz wjazdu. Chyba musieliśmy być mocno zdziwieni gdyż szybko dodał: Nie przejmujcie się, póki tu stoicie nikt się wami nie zainteresuje. Ale jak będziecie stąd wyjeżdżać to lepiej uważajcie bo z obu stron tylko czekają na takich gapowiczów. Pięknie nas pocieszył. Na swoje usprawiedliwienie powiem, że faktycznie nie zauważyłem żadnego znaku zakazu. Może zasłoniła mi go buda samochodu jadącego przede mną a może po prostu zbyt się zająłem szukaniem wolnego miejsca parkingowego, nie zwracając uwagi na znaki. Po spacerze rozejrzałem się w terenie i znalazłem drogę ewakuacji. Przejechałem na drugą stronę ulicy i pokonując bardzo wysoki krawężnik przemknąłem chodnikiem włączając się do ruchu na normalnej ulicy.

Dobrze, że wzięłem auto przystosowane do pokonywania takich przeszkód. Nie mniej potwierdziło to fakt, iż duże miasta najlepiej zwiedzać komunikacją miejską.

Na szczęście był to ostatni obiekt jaki mieliśmy obejrzeć w Warszawie. Wkrótce wybraliśmy się w drogę powrotną do domu. Jak zwykle nie była to droga prosta. Ale o tym gdzie dotarliśmy opowiem w następnym tekście.

Krzysztof Tęcza